Tygodnik literacki
literaturze, sztukom pięknym i krytyce poświęcony.

№ 31. Poznań, dnia 3. Sierpnia. **1840.**

Literatura zagraniczna.

Völkerschau auf Reisen
von Theodor Mundt, Iter Band, Stuttgard 1840.
(Ciąg dalszy.)

Przerażający ale ciekawy to widok tylu naraz skazańców z wyrazem przeklęstwa na twarzy! Grzech czyli złe świata tego w trzytysiącu postaciach, co jak maski na piekielnych zapustach przełażą się tłumnie w okręgu przystani! Przed nie jedném obliczem spuścisz wzrok twój w ziemię, albo go w inną zwrócisz stronę, tak łotrowski w niém wyraz, takie upośledzenie Boga w człowieku, takie ohydne i sprosne naigrawanie się dziełu stwórcy. Widać u nie jednych, po ich postawie i ruchu, że to byli ludzie wyższego stanu. Czerwona atoli siermięga wszystkich zrównała; wszyscy porówno ogorzeli upałem słońca i znojem ciężkich robót, zbrodnia wszystkich porówno pohańbiła. Wolność ludów nigdy nie prowadzi do takiego zrównania stósunków ludzkich, ale doprowadza doń grzech w człowieku zakorzeniony, i niewola nad nim rozpostarta. One to wkładają nań jarzmo najohydniejszéj równości i jednostajności życia, bo wszystkie prawem ludzkiem i boskiem nacechowane różnice przyrodzenia i spółeczeństwa ludzkiego, niszczy i niweluje ohyda, napiętnowana na ciele i duszy zbrodniarza. Grzechu więc panowanie jest despotyczne, i człek jego jest nikczemnym niewolnikiem. A gdzie despotyzm włada, tam u ludzi ani cnota ani wielkość nie zakwitnie, bo tam wygłada i zagłada wszelakich osobistych wyróżnień, tam ogólna równość niewoli i hańby.

Kara i nazwa skazania na galery jest zabytkiem dawnych jeszcze wieków, kiedy osądzonych zbrodniarzy przykuwano do ławy wiosłowéj na galerach (okrętach) rządowych, i musieli dniem i nocą robić wiosłami, o nędznéj strawie, przy słotach i niewczasach. Dziś ich używają do ciężkich robót w arsenale i przystani, i zwią się skazańcy (les forçats), a więzienie ich zowie się bagno. Położenie ich nie polepszyło się w niczém. Nie może być okropniejszéj kary, jak być tu wskazanym do robót. Zbrodzień nie ma tu nadziei poprawy, całe, że tak powiem, powietrze wskróś zatrute wyziewem tylu tysięcy towarzyszy złego, zahartowanych w grzechu. Umysł i serce jego nie tylko się więc nie uleczy, ale nabrzmieje i wezdmie tém jadowitszą trucizną, i bez ratunku przepada.

Przybywający tu winowajca zwłóczy nasamprzód suknie swoje, które zaraz spalą, a dostaje strój, niby potępieńca, złożony z czerwonego, żółtego i zielonego koloru. Czerwona siermięga dostaje się każdemu; żółte na niéj rękawy, wyłogi i t. p oznaczają różne klassy zbrodniarzy. Podobnie i czapki, które także są różnego koloru. Zielone noszą wskazani do robót na całe życie, czerwone ci, których kara rozciąga się tylko na pewną ilość lat. Okrycie nóg jest albo z płótna, albo z grubéj wełnianéj tkanki, żółtego albo szarego koloru. Na wstępie dwóch a dwóch bywa skutych do kupy. Taka para musi się więc ciągle mieć z sobą, idą społem do roboty, społem do jedzy, jeden drugiego ma nieustającym świadkiem, bez niego się ruszyć, żadnéj potrzeby odbyć nie może, jeden wlec się musi za drugim mimo chęci i woli.

Jest to męka niewypowiedziana, która nieraz zbrodnia do wściekłości doprowadza. Przy takiém ich spoleniu nie ma nikt względu ani na równość karakterów, przywiązania, albo przynajmniéj na równość występku; i owszem przez zasadę dokuczenia skazańcom, i wymyślania im najukrutniejszych mąk moralnych, z umysłu takich sprzęgają ze sobą, i wskazują na nieustanne towarzystwo, którzy sobie nawzajem największém mogą być umęczeniem i udręczeniem życia. — Do jednych więc kajdan przykuci: człowiek nie zupełnie jeszcze skażonych obyczajów i łotr wypróbowany; uczeń i mistrz w szkaradnym rzemiośle występku. Syn marnotrawny, w którego sercu

nie wygasły jeszcze zupełnie uczucia cnoty, pamięć na rodzinną ziemię, na rodziców, przyjacioł nie przemknie się po duszy bez rozrzewnienia, ten, któryby w chwili takiéj skruchy, poznał się w złém i nawrócił; — ten nieszczęśliwy młodzian sprzężonym się widzi z starym wyuzdanym zbrodniarzem, co zerwał wszystkie związki z niebem i ze światem, którego oddech bluźni bogu i ludziom, a usta nieczyste jak robiąca kałuża cieką plugiem i błotem. Z takim to potworem w ludzkiém ciele żyć musi wszystkie chwile każdéj godziny, każdego dnia, miesiąca, lat całych, jakby kością pacierzową do niego zrośnięty; być jak opętanym przez kusiciela, co na każde ocknienie się sumienia piekielnym zawrzaśnie mu śmiechem, resztę dobrego i niewinności wyszydzi, wytępi, aż równego zeń nie zrobi zbrodnia, żyjącego bluźnierstwy i bezeceństwém. Jest to, jak gdyby czart przykuł się i przyczepił kajdanami do stóp żałującego za grzechy grzesznika, od którego mu się odszczepić nie podobna, i nie ma innéj ucieczki, jak poddać mu się zupełnie. A kiedy przeżyli z sobą długie godziny całego dnia cierpień i znoju, i noc cicha mrokiem na ziemię zapadła, i w ten czas jeszcze, kiedy nawet robak nikczemny schronienia i osobności szuka, on jéj naleść nie może; spoczynek i łoże dzielić zmuszony z człowiekiem, który mu obmierzł i zbrzydził się. Ten wypoczywa może snem cichym po mękach całodniowych często niezasłużonéj kary; a tamtemu mordercy odśniwa się popełniona zbrodnia z całą okropnością uczynku, z całym postrachem sumienia, zrywa się jak na jawie, i w rozmarzonéj namiętności rzuca się na spoczywającego obok towarzysza, jak na ofiarę swoją. Zaprawdę, w samém piekle gorszychby mąk nie wymyślił....»

Prócz tych zwyczajnych więzień w przystani, bagno zwanych, są jeszcze inne na okrętach, niejako więzienia pływające, w których skazańcy pracują i z nich się nie wydalają. Rano, w południe i wieczór zbierają się razem do sali będącéj na samym spodzie okrętu, tam jedzą, wypoczywają, śpią. Okropna jest zwiedzać o téj porze te więzienia. Jest nawet niebezpieczno, i mimo pozwolenia, o które się aż w sztabie głównym postarać trzeba, i mimo przydanéj ztamtąd straży, nie jeden tam już przypłacił ciekawość swoją. Tu chuć rozpasana, i bezwstyd wynażony, tu zbrodnia nadziei poprawy i przebaczenia pozbawiona, i ztąd najsprośniejsze bluźnierstwo założyły mieszkanie swoje. To otchłań parująca ziewem nieszczęścia i występku. Jakiś szmer głuchy obiega nieustannie po sali, o jéj ściany odbijają się to westchnienia, to przekleństwa; twarze ohydne, zażarte; gdzieś tam w kącie przyparł skazaniec, z wlepionym zwrokiem, ze łzą w oku. — A tylu ich w okół, jak gdyby zgromadzonych na sąd ostateczny. Tak tu duszno, tak ciężko piersi niewinnéj, że zda się, iż istotnie wymiar kary boży, w piorunowéj chmurze nad głowami potępieńców zawieszony, i lada chwila z grzmotem wypadnie. I ztąd to na wszystkie strony ów połysk niepewny oczu, ów pomruk, jakieś tarcie się, to jęków, to śmiechu, to westchnień, co wszystko działa na duszę niewypowiedzianie.

Środek sali wyłożony spadzisto kamieniami, są to łoża, czyli prycze tych nieszczęśliwych. Za całe posłanie kawał grubego sukna. Jedna jest sala, w któréj zamykają wskazanych na całe życie. Tu najwięcéj rozpusty. Bo też nie pozostało im nic więcéj, jak rozochocić się zbrodnią. Oni skończyli z sobą. Przyszłość ich na dzień każdy wymierzona tą samą pracą, tém samém zatrudnieniem. Ta przyszłość, co się nam nadzieją uśmiecha, téj oni nie znają. Dzień im każdy jeden i ten sam; żadna spodziewana zmiana, żadne urozmaicenie, czczość czasu wypełniona męką jednostajną. Byłoby to istne piekło, gdyby się śmiercią nie kończyło. Nic ich spotkać nie może, bo nic nie mają do stracenia. Cała skazańca posiadłość jest powietrze, którém oddycha, chleb i zła strawa, którą mu dają na posiłek, i siermięga rządowa. Więc pieśń ku pociesze nuci, tak wściekłą, tak ohydną, jak zbrodnia; więc dowcipem się popisuje, bluźniąc niebu i ludziom, jak szatan tą wyuzdaną siłą woli chcący być potężniejszym od Boga i cnoty. Losy i dnie swoje przeklął po stokroć, stracił je niepowetowanie, więc z piekielną chucią chłonie i karmi się tém, co jego jedyną jest własnością, co mu zbrodnia i zepsucie do serca i myśli każdéj chwili nastręcza. Jemu wrota miłosierdzia ludzkiego do śmierci zawarte, więc obmierzło mu i miłosierdzie stwórcy. Wyzuł się z jego religii, a nową szatańską sobie stworzył, religią niedającą żadnéj nadziei, i w takiém to zwątpieniu dogorywa zwolna w ofierze, i na węgiel się wypala serce pożerane płomieniami namiętności.

W nocy spętani są wszyscy kajdanami do jednego potężnego łańcucha w okół łożysk, i tak śpią. Postaw się myślą nad tą zgrają zbrodniarzy, ujętych snem, to chrapiących, to oddychających z głębi piersi, w któréj tkwi zbrodnia! Jakie muszą być sny tych ludzi, którym każde dobrodziejstwo i błogosławieństwo przyrodzenia zamienia się w przekleństwo! Istne piekło obrazów, co się w ich duszach kołycze! Roz-

ognione ich wyobraźnie, napełniają znać to miejsce spoczynku straszliwémi widziadłami, co jak mory usiadły i cisną im łono, co jak upiory przyczepiły im się do ust, i ssają z nich krew. Tyle tam wykrzywień muskułów twarzy, tyle ruchów członkami, a kajdany uśpionym pobrzękują pieśnią kary i zemsty!

Słabi na umyśle i ciele w osobnéj trzymani są sali. Obłąkanych tu najwięcéj. Częstokroć pierwsze wrażenie tego okropnego stanu tak gwałtownie działa na umysł przybyłego nowo skazańca, że go wprawia w pomieszanie zmysłów; najczęściéj atoli tępieje umysł w téj mąk jednostajności; i kończy się starość obłąkaniem. Jakby więc na karę zbrodniarzowi, a na odrazę drugim, natura nie zsyła dobroczynnéj śmierci, coby położyła kres cierpieniom człowieka wycieńczonego na siłach, ale obdziera go z władzy rozumu, tego jedynego wyobrażenia boskiego, i w tym stanie upodlonego człowieczeństwa każe mu dokarwięczyć do kresu żywota.

Chorych wynoszą do szpitalu arsenałowego. Ale słabość, choćby największa, nie uwolni ich od kajdan. Chory złożony na łożu boleści, za każdém poruszeniém nogi i ciała pobrzękuje kajdanem. Przychodzący do zdrowia przechadzają się wedle łóżek swoich w takiéj tylko odległości, jak długie są łańcuszki, którémi ich do łóżka przykuto. Z lazaretów najwięcéj skazańców uciekało, dla tego obmyślono tak ostre środki bezpieczeństwa. Chodząc tamtędy widziałem jednego z chorych, jak siedział przygięty na łóżku i coś w pugilaresie sobie notował. Z taką to czynił skwapliwością, żebyś rozumiał, że jest w najważniejszych obowiązkach powołania swojego. Na nieszczęście zaczerwiniła się oczom moim siermięga i pomyślałem: biedny skazaniec! Przypomniał mi się Trenmor z Lelii Jerzego Sand. — Dozór i opiekę nad chorymi podejmują się tu zakonnice. Zaprawdę największe poświęcenie kobiety! Ale i na ich twarzach jest jakieś stępienie uczucia, posępność obrana z uciech życia. Znać musi być goryczą nieść pomoc człowiekowi, który nie ma ani cnoty, ani wdzięczności w sercu.

We wszystkich tych więzieniach nie ma żadnego zakątka poświęconego chwale Bożéj. W szpitalu tylko jest kapliczka, albo raczéj komórka, z wsuniętym ołtarzem, przed którym, kto chce, pacierz odmawia. Dawniéj bywało nabożeństwo co niedziela. Ale musiano poprzestać, bo wśród mszy i chwil w niéj najuroczystszych, tłum zbrodniów naigrawał i urągał się najświętszym tajemnicom wiary, bluźnierstwy, śmiechy, hałasy, i innémi wszeteczeństwami. Była to rozkosz wściekła, którą się zbrodnia mściła nad tém, co świat ma i wierzy jako święte.

Kara galerów w Tulonie jest hańbą i zakałą narodu, co przecie rości prawo do cywilizacyi i reform socyalnych. Te więzienia tu okropniejsze są i więcéj oburzające uczucia, niżeli nawet niewola negrów. Rząd ma prawo i powinien winowajców karać i więzić, ale nie należy mu zakładać i utrzymywać więzienia, jako szkoły i mieszkania zbrodni. — Na galerach skazaniec wstępuje jakby do uorganizowanego państwa z samych zbrodniarzy, i przysięga na ich obywatelstwo. Jest między nimi tajemny związek, niby cech prawami opisany, do którego każdego przyjmują. Są tam tajemne trybunały, są prawa, wyroki, których exekucyą spełnia jeden z pośród nich wybrany. Na kogo wyrok śmierci padnie, ten się pewno przed nim nie ochroni. Raz po raz znachodzą trupy to urzędników i dozorców niecierpianych i ostrych, to skazańców, na których znać padło podejrzenie o zdradę. Raz do roku wszyscy podobno jednemu obowięzują się dopomódz do ucieczki.

Galery nie tylko same przez się są instytutem więzień bardzo niemoralnym, ale są i zgorszeniem dla miast portowych, w których pobliżu się znajdują. Jak może rząd oświecony dopuszczać takiéj spółki niewinnych z winowajcami. Wraz ze skazańcami pracują w przystani społem wyrobnicy, zarabiając uczciwie na żonę i dzieci. Nie musiż takie spółkowanie codzienne być jak morową zarazą, co się w łona rodzin, i całéj klassy ludu roznosi i zagnieżdża? Dla tego też takie zgorszenie, taka tam rozpusta.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Literatura krajowa.

Poezya.

Żeglarz.

(Sonet.)

Dziko w méj duszy! — była pogoda,
Jasne nadzieją lśniły błękity.
Dziś wichrem losów okręt rozbity
Z fali na falę miecie przygoda.

Nęciła słońcem cudna przyroda,
Ze łzą rzuciłem Tatrzańskie szczyty,
A rozigrany — pod niebo wzbity
Duch wyobraźnia skrzydliła młoda.

Dziko w méj duszy — bo grom po gromie
W moje ojczyste bije dziedziny,
A ja bez steru na deski złomie
Żeglarz rozbitek w pośród głębiny.
Mamli się rzucić w ten odmęt siny?
Już cię nie ujrzeć domie rodziny! . . . .

F. Ż.

Żal.

O biada! czyje serce tli ogniem uczucia
A myśli nad poziom wzbił,
Któż z nim zapłonie choć iskrą spółczucia!
Kto z nim będzie łezką lśnił!

Samotna iskra zagaśnie bez wieści!
Zostanie zniszczenia pył,
Piosenka nakształt listka przeszeleści
A wieszcz w mogiłę się skrył!

Sława potomna — zabłyśnie i wionie
Jak ofiar spalonych woń,
Którą mu ludzie dopiero po zgonie
Zmartwiałą odymią skroń.

Nad sławę droższa łza bratniéj źrenicy
Co za nim popłynie w dół,
Czemuż za życia nie znalazł dziewicy
Lub druha — by płakał spół!

F. Ż.

Życie sieroty

*przez Stefanią F***.*

(Ciąg dalszy.)

Kilka karet i pojazdów zajechało do oberzy w Paryżu — w ostatniem siedziała Zosia. Karety wjeżdżały powoli; — powóz z Zosią stał na ulicy. Przechodzący zaglądali do niego i przypatrywali się pięknéj twarzyczce Zosi. Młodzik jakiś rzucił nań oko, popatrzył i rzekł do drugiego: «Dalibóg piękne dziewcze; patrzno jaka ładna.» Zosia upiekła raczka chociaż młodzik mówił pofrancuzku; — ona go zrozumiała, bo panny służące hrabiny nauczyły ją téj mowy. — Pierwszy raz usłyszała o tém, że jest piękna, bo lubo jéj to zwierciadło po cichu mówiło, nikt jéj tego jeszcze głośno nie powiedział. Zajechał powóz do oberzy, a Zosia jeszcze myślała o tém, co słyszała przed chwilą, i o tém, co jéj to powiedział. Oberwała też burę od panny za to, że siedzi zamyślona — zamiast wysiadać i rzeczy znosić i układać, a pani hrabina już dwa razy się pytała, czemu Zosi nie ma na górze.

Ledwo na górę weszła, rzuciła okiem w zwierciadło i przyznała, że ten pan nieznajomy zupełną miał słuszność. Często też mimowolnie myśli jéj do nieznanego młodzieńca biegały, często senne marzenia dziennych obrazów malowały jego postać na tle pamięci. — Zosia snuła nieznane dawniéj marzenia i nieraz zadumaną dziewczynę zbudziło groźne panny służącéj wołanie. Nieraz chciała wyjść na ulicę Paryża zobaczyć duże i piękne to miasto, ale jéj nigdy wyjść nie pozwolono, bo mówiono, że się zgubi wśród tłoku i nie znanych ulic. I Zosia siedziała w domu, bo cóż miała robić, chociaż ją chętka brała do wyjścia, kazano siedzieć i trza było słuchać.

Dnia jednego wyszli prawie wszyscy. — Zosia została sama w pokojach służebnic; — poszła do okna, otworzyła, wyjzrzała, wiatrek miły owionął piękną twarzyczkę — karety jeździły jedna za drugą, — mnóstwo ludzi w różnych ubiorach krzyżowali się w różne strony, szli wolno kędy chcieli, żaden nie błądził; — czemużby Zosia miała się zabłąkać? — Odeszła od okna, włożyła kapelusz; nim wrócą panny służące, już będzie z powrotem, — wyszła z pokoju, zeszła ze schodów i już biegnie po ulicy, jak ptaszek, co radośnie trzepocze skrzydełki, gdy się wymknie z ciasnéj klatki więzienia. I Zosia szła, szła ciągle, co raz to nowe zajmowały ją widoki — co raz to nowe napotykała osobliwości. Zrazu nie myślała o niczém, cieszyła się wolnością, jakby dziecko cackiem, ale zwolna wracały myśli — i Zosię strach zaczął ogarniać, ujrzawszy się samą jedną w tém mnóstwie ludzi. — Chciała wrócić, nie wiedziała, gdzie się ma obrócić, zdało jéj się, że szła prosto i wracać prosto poczęła, ale jeszcze bardziéj się zmyliła; znowu wróciła, a tak chodziła z ulicy na ulicę i coraz bardziéj mięszał się w jéj głowie ślad drogi, którą szła była. Dzień zaczął powoli ustępować wieczornéj pomroce. Zosia zalała się łzami, zaglądali jéj pod kapelusz; — pytali czego płacze, a ona zrazu wstydziła się łez swoich i nieznanych pytań, i milcząc, szła daléj, nie wiedząc, gdzie idzie. Zmęczona usiadła na kamieniu koło domu jakiegoś; pomrok wieczorny coraz daléj popędzał światło schodzące, — a biedna Zosia nie wiedząc, co począć; zaczęła rzewnie płakać, i załamawszy ręce, głośno wyrzekała. Kilku przechodzących pytało czego płacze; — ona mówiła im, że się zgubiła w ulicach, ale gdy jéj pytano, kędyby mieszkała, nie umiała nazwać ni ulicy, ni oberzy swojéj pani. I odchodzili ruszając ramionami, a niektórzy nawet mówili, że to szalona dziewczyna. — Zosia coraz bardziéj płakała, i zakrywszy twarz rękami ostatniéj oddała się rozpaczy. — Przechodzień jakiś znowu do niéj się odezwał. Zosia podniosła oczy, i lubo łzy ćmiły to spojrzenie, — poznała do razu, że to ten sam młodzian, co tak wiele i często o nim myślała.

Z razu nie wierzyła sama sobie i powtórnie spojrzała na niego — żywy rumieniec okrył wilgotne od łez policzki i Zosia spuściła oczy, jakby się bała, by młodzieniec przeszłych myśli nie odgadł. Biedna Zosia, on jéj nawet nie poznał, a ona marzyła, że on myśli jéj wybadywać zechce. — Zosia milczała, serce jéj biło gwałtownie, — drugi głos nieznany powtórzył zapytanie młodzieńca. — Jakiś sędziwy człowiek stał obok niego, teraz go dopiero Zosia spostrzegła. Zapewne to był ojciec jego, bo jednakie były rysy ich twarzy; — i Zosi śmieléj jakoś było, gdy widziała, że nie sama z nieznanym młodzianem. Lecz cóż pomogła dobra chęć przechodniów, kiedy Zosia nie wiedziała, gdzie mieszkanie pani. Tą razą jednak nie odeszli zapytujący; — ten pan starszy był to jakiś litościwy człowiek, co go serce bolało na widok łez gorzkich, a młodszy, o, ten chętnie patrzał na Zosię, bo była gładka i piękna, i łzy w tak ładnych oczętach zdawały mu się godne politowania. Pytano więc daléj dziewczyny, z kąd jest rodem, zkąd przybyła, jak dawno? i gdy powiedziała, że biedna sierota, bez ojca, matki, ni rodziny, cudzoziemka z polskiego kraju, bez znajomych, ni przyjaciół, spójrzeli po sobie ciekawi panowie i słów kilka w obcéj jakiéjś dla Zosi przemówili mowie. Potém starszy jegomość mówił do Zosi, by poszła wraz z nimi, że teraz już późno, że sama nie wie, gdzie mieszka, a w oberzy, gdzie oni stoją, znajdzie nocleg spokojny, a jutro, mówił do niéj, jutro moje dziecię, będziem szukać twojéj hrabiny. — Pod moją opieką będziesz bezpieczna, moja panienko, jam także jest ojcem. Cóż miała począć Zosia, zostać saméj na ulicy nie sposób, szukać mieszkania nie podobna, a potém ten staruszek tak dobrym, tak litościwym był dla niéj, a młodzieniec patrzał na nią tak mile, że Zosia po krótkiém wachaniu się poszła wreszcie z nimi.

* * *

Słońce zachodziło za daleki widnokrąg i zwolna zbierało promienie swoje z rozciągłych pól okolicznych, które po ciepłym dniu lata na wilgotną czekały rosę. — Już ledwie ostatnie połyski blado złociły szczyty wzgórz wyniosłych, na które przyrody ręka rzuciła odwiecznie czarno-barwne bory. Z zaprzeciwnych od zachodu pagórków, roztoczony w całéj pełni księżyc, na ciemném niebie ostatnie dziennego światła zastępował promienie. — Niezbyt odległe morze chłodny wietrzyk na wyspy posyłało pola, i czasem zaszeleściła wyniosła trzciny łodyga, lub palmowe drzewo ruszyło liśćmi swemi. — Przed pięknèm domostwem trzy osoby wieczornego używały chłodu, pod palmowemi drzewy stał stolik biało nakryty, a na nim zastawiona wieczerza, i w koło kręcili się czarni słudzy w białych ubiorach z świecącémi się oczyma i czerwieniącémi usty. — I dobry to musiał być pan dla swych podwładnych, bo mu ochoczo ci czarni służyli, a byli porządnie i czysto ubrani i zdrowi, snadź pracą nie zbytnie ciążeni. I przy stoliku wesoło też było, bo i staruszek i młoda dziewczyna, co przy nim siedziała i młodzieniec, co ją obejmował; wszyscy trzéj szczęśliwymi pewno być musieli, bo śmiechy ich szczere wiatr daléj roznosił, i swoboda i pokój z ich oczu patrzały.

To Zosia tak szczęśliwą była. — Zosia sierota, opuszczona, biedna, — służąca, popychana w panieńskich pokojach, taż sama Zosia — tylko piękniejsza szczęściem i słońcem południa, popalona trochę, z żywym rumieńcem i oczkiem miluchném, gdzie promień szczęścia połyskał. Tuż przy niéj ów młodzian, co go to dawniéj przeczuła jéj dusza, a który ją ukochał, choć późniéj, lecz szczerze. Ojciec pozwolił na związki ślubne i wkrótce Alfred N. miał Zosię zaślubić. Była tak szczęśliwa, że sama pojąć swéj doli nie mogła, że spojrzeć nie śmiała z tego szczytu szczęścia, na który się z tak smętnéj doliny wdrapała. Tylko twórcy dziękować na kolanach mogła, a widomego szczęścia tego dawcę nad świat cały, — nad wszystko w świecie ukochała. I jemu poświęciła każdą myśl swoją, każdéj myśli odcień, jego obraz na tle duszy swojéj, nie zmazanemi odcisnęła farby; — on jéj był zawsze przytomnym, ona go w każdym listku — w każdym proszku ziemi widziała.

Blade światło księżyca już na całéj spoczywało okolicy, a z niém pokój i cichość po dziennych nastały obrotach. Któż nie doznaje tkliwego wzruszenia na widok tych smętnych miłych księżyca promieni? One braćmi być muszą serc wiele czujących, bo zdaje się, że biorą jakiś udział w cierpieniach dusz nie tego świata, które się tutaj nie mogą dać pojąć. Powoli ucichły głośne śmiechy przy wieczerzy, wszyscy zamilkli wreszcie, i myśli swoje puścili daleko po bladych księżyca promieniach. I były to chwile szczęścia, więcéj ciche, jak te, co minęły, może głębiéj i mocniéj czuły je dusze, których myśli swobodne i tkliwe spotkać się razem miały u jednegoż celu.

Ktoś gonił po dolinie, to tentent konia — coraz bliżéj — przypadł do domu jakiś posłaniec, żądał widzieć pana samego, i pan wstał, poszedł do domu, przeczytał list jakiś. Niedobre tam nowiny. — Pan rzucił pismo na stół, zawołał syna. — Alfred przeczytał podany list sobie, zbladł. «Trzeba jechać«,

mówił doń ojciec, «cały nasz majątek, sława, dobre imie, cały byt nasz od tego zależy. — Ten okręt wiózł całe tegoroczne zbiory i powierzone na moją odpowiedzialność kilku domów majątki. Trzeba dowieść we Francyi, że ten okręt był moją własnością, że ten bankier, co zbankrutował, nie zapłacił tych towarów, trzeba się ratować, bo inaczéj pojdziemy wszyscy z torbą, mój Alfredzie». A Zosia, a ślub, wyrzekł Alfred z cicha. Wszak to i potém może nastąpić; a cóż ona i ty będziecie robili, jak nas wypędzą z naszego domu i nasze imie zniesławią. Będziecie się tułać po świecie i rękę wyciągać po kawałek chleba. — Alfredzie, nie ma co zwłoczyć, — jutro okręt do Francyi odbija, jeszcze dzisiaj musisz jechać do St. Pierre». Nigdy Alfred nie sprzeciwiał się woli ojca; bo też nigdy ojciec nic przeciwnego woli jego nie żądał. A dziś płynąć z Martyniki do Francyi i zostawić Zosię samą we łzach i tęsknocie! o, ta myśl była okropną dla niego, i w téj chwili walki wewnętrznéj myśl jego wieki cierpień przetrwała. Ojciec nalegał, prosił, błagał. Dla Alfreda nie było wyboru, bo ojciec już stary i siły stargane pracą, nie mógł płynąć tak daleko, a potrzeba była nagła. Alfred musiał zezwolić, — pojechał.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Listy ajenta saskiego

podczas bezkrólewia po Auguscie III. i początku panowania Stanisława Augusta.

(Dalszy ciąg.)

IV.

Warszawa, 31. Grudnia 1763.

Deliberacye ustały od dawna, i nie zawitają aż w wiośnie. Sejm konwokacyjny oznaczony na piąty lub siodmy maja. Jeżeli w tym przeciągu króla pruskiego nie wciągniemy lepiéj w nasze interesa, nie warto ani posyłać ministrów przeznaczonych, pomimo ich całą zdolność. Mówię często z osobami wiedzącémi o wszystkiém, nawet w partyi przeciwnéj, a wszyscy się zgadzają, że korona stracona dla Saxonii bez wypadków bardzo nadzwyczajnych. Skoro nie możemy się utrzymać, dajmy od razu pokój; nie róbmy daremnych a kosztownych usiłowań.

V.

Warszawa, dnia 4. Stycznia 1764.

To, co ofiarują z dobrego serca, coby się dało zrobić na korzyść najjaśniejszego elektora, zdaje się dosyć trudne. Hetman Branicki jest niewątpliwie wielki pan, ale u familii nie wiele znaczy. Jego familia może wszystko; wielu panów najgorliwszych do tego czasu stawia ją w jéj partyi. Prymas sam, tak jest Prymas Lubieński, który udawał dobre chęci dla domu królewskiego, jest słusznie podejrzany o sponiatowszczenie się. Królewscy stronnicy odbyli dwie narady, jakby stawić czoło niedogodnościom oświadczenia pruskiego i rossyiskiego; krzyczą i grożą, że wszystko poświęcą a nie dadzą się zmusić; tym czasem familia działa i dostaje co dzień nowych stronników.

Kanclerz koronny Wodzicki umarł; teraz więc wszystko zależy od samego kanclerza wielkiego litewskiego, Czartoryskiego. To oczywiście narobiło tylu apostatów, że nie masz pewności, gdzie są życzenia Francyi i cesarzowéj królowéj we względzie króla saskiego. Na wszelki przypadek wojewodowie, lubelski Lubomirski, wołyński Ossoliński, łęczycki Sołtyk, wileński Radziwiłł, kijowski Potocki, krakowski Rzewuski są otwarcie za Sasem, a przynajmniéj przeciw familii. Czartoryscy utrzymują, że interes narodu polskiego potrzebuje króla Piasta młodego, z tęgim charakterem, zdolnego podnieść sławę narodu, i któryby był mile przyjęty od swoich sąsiadów. Stolnik Poniatowski podług nich jest sam zdolny przywrócić piękne czasy rzeczypospolitéj. Woleli sobie nawet zagadnieniem oczernić pamięć naszych dobrych książąt saskich, pod których panowaniem Polska używała szczęścia i ciągłego pokoju. Myślą jednak, że jeżeli familia potrafi przewieśdź wybór Poniatowskiego, naród i ona sama potrafią też każdéj chwili uwolnić się od niego i t. d.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Koniec średniowiecznéj dążności w historyi polskiéj.

Minął czas powierzchowności i czczéj fantastycznéj lekkości. Nie zadawalniają mianowicie w historyi narodowéj powierzchownie zdejmowane obrazy z jéj oblicza; boleścią przejmują męczarnie żywota rodzinnego na skalę powszednią rozciąganego, a łudzą tylko — na skalę przyszłości — wysnute o nim z przeczucia wieszczę marzenia młodzieńcze. Dziś wszystkie odcienia szczeréj wiedzy byt rzeczywisty wskroś chcą przeniknąć, chcą z dzisiejszego najwyższego stanowiska myśli, prawdziwy organizm minionego bytu schwycić i wykryć, z takiéj tylko podstawy dalszy byt tworzyć, lub razem z nim przynajmniéj w jęden podrastać organizm. Kreśląc tu dla ciasności miejsca sam tylko w zarysach koniec średniowiecznéj dążności naszéj, pragniemy dorzucić grosz wdowi na ołtarz dzisiejszych usilności, a razem zwrócić myśl czytelnika na wysoki stopień rozwoju, jaki historya nasza z końcem wieków średnich osiągła.

Srednie wieki w historyi polskiéj, jak w powszechnéj skończoną w sobie mają całość. Dopełniając zamierzonéj myśli, która od myśli następnego czasu wyraźnie się różni, zaczynają się tam, gdzie na tle plemiennem Słowiańszczyzny rodzi się Narodowość polska, gdzie otwiera zaciętą walkę o niepodległy byt swój udzielny tak z cudzoziemszczyzną germańską, jako i swojszczyzną słowiańską; gdzie chrześciańską myślą zaczyna żyć pod tarczą monarchicznéj wła-

dzy, — a kończą się tam, gdzie z tryumfem młodzieńca skończyła walkę o byt niepodległy i przewodniczyła żywiołom słowiańskim, gdzie wskroś przejęta Chrystyanizmem w jego obronie za całą stanęła Europę, gdzie przez najokropniejsze rozszczepienie żywiołów swoich rozlicznych wypośredniczywszy silną jedność braterską, pozbywała się niepotrzebnéj opieki kościelnéj i powagi monarchizmu absolutnego; słowem tam, gdzie przestała jak księżyc jaśnieć spływającém na się światłem chrześciańskiém, a poczęła jak słońce sama błyszczeć z siebie w samodzielnéj, teoretycznéj, abstrakcyjnéj myśli narodowéj; tam, gdzie Kopernik daléj sięgać zaczął, jak Kolumb po nowych światów odkrycie.

Treścią wieków średnich w ogólności, jest wiara nowa, idealna, Chrystyanizm, spadający na dusze naturą i socyalnością wyłącznie zajęte: jest to więc walka ducha z naturą, idealizmu z materyalizmem, Duchowności z Swieckością w celu wypośredniczenia się obu i zlania w jednę myśl — Boga-Człowieka: by Słowo Ciałem się stało i mieszkało między Nami. Ruch dyalektyczny sprzecznych tych dwu momentów, trzy konieczne miał swoje epoki: 1) bezpośredniego obok siebie istnienia stron walczących, a raczéj przewagi duchowności nad świeckością, 2) starcia się właściwego obu momentów, czyli dorastania świeckości do szczebla duchowności, 3) tryumfu świeckości nad duchownością, czyli przesiedlenia duchowności w świeckość. Odbił się ruch ten ogólny u nas. nie na pobojowisku Papiezko-Cesarskiém, bośmy nie byli przewodnikami ówczesnéj historyi powszechnéj, ale odbił się tam, gdzie właściwe i wyłączne jest życie Polski, na tle narodowo-polityczném, na trójlicowym kształcie średniowiecznéj historyi naszéj. Polska bowiem w pierwiastkach chrześciańskiego życia swego przedstawia widok jednéj, bezróżnicowéj całości, owiniętéj w powłokę duchowności i majestatu królewskiego, a dzielném Bolesławów ramieniem odpychającéj nie apostolstwo lecz jarzmo obczyzny: bo czerpnąwszy zarodu przechrzcenia od pobratymców sała jako niemowlę pokarm przyszłego zbawienia; w drugim okresie przybiera Polska kształt partykularyzmu i najrozpasańszego osobnostkowania: bo, gdzie tylko przyjęło się ziarno duchowe, wre najzawilszym processem na przelicznych punktach kraju, jako indywidualizm duchowo wzniesiony; w trzecim nakoniec okresie ziarno duchowe, jak z roli sprawnéj, równymi indywidualizmami strzeliwszy w górę i kwiatami Swiętych zabłysnąwszy, nadało Polszcze jednę barwę, równą wysokość; wzajemnie w sobie czującą się całość pełną i wielką, w obliczu świata siłę i okazałość.

Wystawiając ostatnią chwilę tego trzeciego okresu, przypadającą na koniec 15go wieku, czyli na czas panowania Kazimirza Jagielończyka, rzucimy przeto okiem, tak na Duchowność, jak na Swieckość ówczesną, i pokażemy na końcu, jak cały rozwój narodowy ówczesny miał się do rozwoju historycznego w ogólności.

I. Duchowność. Kościół i duchowieństwo im więcéj w missyi swéj wychowawczéj zbliżali się i zstępowali do ziemskiéj świeckości, tém bardziéj sami materyalizowali się i powszednieli. W ostatniéj chwili średniowiecznego bytu cała istotna treść duchowności przeszła zupełnie w świeckość, a dawna powaga kościelna, w obliczu dojrzałéj narodowéj świeckości, wydała się jak przestarzałe pretensye, naprzeciw silnie wzmagającéj się myśli sformowanego dopiero co państwa. W owéj chwili przeto widzimy narodowy kościół karcony i strącony z niewczesnych swoich pretensyi i przywilejów, przez państwo, przed, którém w podrzędne zstępował stanowisko. Swiadkiem takiéj dążności już są słowa Jagiełły przytoczone naiwnie przez kronikarza (Anonym. ed. Ged. przy Kadłb. p. 109.) a oświadczone przełożonym klasztornym »*sub gratia regali seriose: Si tu mihi dare nolueris, quod ego volo habere, ego tibi accipiam omnia bona monasterii, quod mea mihi tribuere contradicis*«; daléj świadczą o tém nader częste zatargi władzy świeckiéj z wolnością kapitulną o obsadzanie katedr biskupich, kończące się zwyczajnie z korzyścią dla pierwszéj (Dlg. s. a. 1460.); daléj napaści dóbr duchownych przez szlachtę; zabory gwałtowne skarbów kościelnych na potrzeby państwa (Dlg. s. a. (1456. zjazd piotrkowski); załogi w dobrach duchownych, gdy nie było czém wojsko zapłacić (Dlg. s. a. 1474.); nareszcie przymus duchowieństwa do opłaty podatków publicznych (Dlg. s. a. 1456. zjazd łęczycki.)

Nikła i upadła zatém niepodległa powaga kościoła, bo ustępująca z niéj treść święta w świeckim zbierała się stanie. Zmianę tę zapowiedziało już kilka świętych postaci, co jak gwiazdy niebieskie wznosiły się nad ziemską ciemnotą i materyalizmem kościoła wilgającego się w odmęcie namiętności zmysłowych; wyraziły ją rzewne i gorące modlitwy Stéj Jadwigi, niemniéj Jagiełły zajmująca skrucha i pobożność, aż nakoniec w całym narodzie ozwał się interes namiętny ku wierze i pobudził go do obrony Chrześciaństwa zagrożonego wylewem potęgi tureckiéj; zagrzewał on Polaków w bitwie nad Morawą, śmierć męczeńską Warneńczykowi zgotował, a roku 1475. całą Litwę i Polskę poruszył ku temu, iż na błaganie siedmiogrodzkiego wojewody Stefana, srodze od Turków zagrożonego, wyraźnie domagały się od króla, by wszystkie siły zebrał i obrócił, jeśli nie na obronę wojewody, to całego europejskiego chrześciaństwa (Dlg. s. a. 1475.)

Ponieważ stan świecki stał się tak arką czucia i światła chrześciańskiego, walczącą przeciw powodzi ciemnoty i barbarzyństwa braci młodszéj, i kościoła zmateryalizowanego, został przez to samo opiekunem i propagatorem oświaty, wyłącznie niegdyś przez kościół posiadanéj. Już Kazimirz W., a raczéj ubóstwiana Jadwiga nasza, przez założenie akademii krakowskiéj wydarli umysły narodowe z gruntu cudzoziemskiego, by je na własny przesadzić i światło niegdyś w duchowieństwie, jak w przywilejowaném naczyniu zawarte, na głowy całego narodu wylać; zaś z końcem średniowiecznego czasu płomień ręką Jadwigi zadźgnięty, już szeroko świecił nad Polską w myślach Długosza, Jana Ostroroga, Grzegorza z Sanoka, a niebawem zapalić miał gwiazdę Kopernika i oświecić cały wiek złoty Zygmuntów.

Chrystyanizm więc jako czucie rozkorzeniony w duszy narodowéj, rozgorzawszy następnie w nabożeństwo rzewne, — do świętości wznoszące, przechodził obecnie na wiedzę świecką, a wypychając się na jaw z posady niegdyś czuciowéj, teraz samodzielne myśli, zawrzał szałem Hussytów, zbudził uśpione siły umysłowe i wzywał je do biesiady swobodnéj na ruinach podkopanéj powagi kościoła, a pod skrzydłem dokonanego w bycie swém i swobodnego państwa świeckiego.

II. Swieckość. Duch świecki w pierwiastkowych czasach swoich, był u nas tylko receptywną, pokój lubiącą, duszą naturalną; był swobodny, roskoszny i rozpierzchły jak jak natura, i jak natura nie czuł swojéj całości, — społecznéj, wyższéj nad napastujące go okoliczności sąsiedzkie, był w formie rodowości. — Dla tego ulegał, dopóty nawałnicom różno-plemiennych ludów walących się tłumnie na łechcące jego siedziby, dopóki brzemię ich ucisku nie wytłoczyło z niego czucia silnego jedności, wspólności i całości wzajemnéj, plemiennéj, i nie wzniosło go w formę słowiaństwa. — Wtenczas zajaśniała mu gwiazda historycznego znaczenia, wiodła go z tryumfem głęboko w krainę najezdców, a przyświecała kolejno Samona myślom, Swatopełka i Bolesława W. — Dopiero gdy po burzach gminoruchowych nastąpił spoczynek ustalający miejscowe stósunki zdobytych krajów, a sławiańszczyzna bespieczna nie potrzebowała wywoływać czucia jedności plemieniowéj, wtenczas na tle jedności słowiańskiéj z uczuciem miejscowych stósunków zaczęły wyróżniać się jéj momenta, a słowiańszczyzna z formy plemienia przeszła w formę swoich narodowości. Narodowość jako ostatnia potąd forma słowiańskiego rozwoju, przeto jako zwój poprzedniego plemieństwa i rodowości, dwa sprzeczne z natury swéj mieści w sobie żywioły t. j. czucie jedności i spojności ogólnéj, wraz z czuciem osobności i rozerwania indywidualizmowego. Zatém jéj zadaniem jest: wypośredniczenie tych żywiołów sprzecznych za pośrednictwem Chrystyanizmu i przeniknienie się ich wzajemne w wyższą jedność, w myśl państwa. Przeistoczenie

formy **narodowości polskiéj** na formę **państwa** polskiego, stanowi rzeczywiście cały bieg średniowieczny naszéj historyi świeckiéj, która jako walka dwusprzecznych momentów, trzy ma dyalektyczne swoje epoki, zgodne z epokami przejście Chrystyanizmu w Świeckość.

I. Polska bowiem zaraz po narodzeniu swojém w silny, bezróżnicowy, osobny węzeł słowiański zebrać się musiała, i ochrzcić od pobratymców; bo dawni najezdnicy pod pozorem apostolstwa aż do niéj zbrojne swe ramię wyciągnąwszy, całéj słowiańszczyznie jarzmem na nowo pogrozili; aby przeto odjąć pozór apostolstwa najezdcom i ocalić nowo narodzony byt swój indywidualny od podbójczéj obczyzny germańskiéj i rywalizującéj Swojszczyzny słowiańskiéj, narodowość polska w pierwszym życia swojego okresie głównie musiała być **wojenną**, na czele początkowania stać musiał **Król** jako produkt epoki, w któréj przemagać musiał żywioł **Jedności** narodowéj.

II. Gdy osiągnięty był cel pierwiastkowy, ocalony i uznany byt indywidualny narodu, wtenczas absolutna monarchia z absolutném swojém sprzężeniem nie wypośredniczonych żywiołów w jeden naród, — stała się ciężarem nieznośnym dla swobodnego niegdyś i osobnostkującego indywidualizmu rodowego; zawrzał przeto cały partykularną subjektywością swoją, wstrząsł monarchią absolutną i rozprzągł wymuszoną jedność narodu, — a Polska, pod godłem książęcych godności i prowincyonalnych pretensyj, przybrała postać najgroźliwszego partykularyzmu i stała się Polską **przywilejów**, a duszą początkowania był **Senat**, a przemagającym narodowym żywiołem rozerwanie i **osobnostkowanie**.

III. Wyczerpnięte oba żywioły historyi narodowéj w wyłącznéj i jednostronnéj względem siebie dążności, — poczuły, iż bez wspólnego i wywzajemnionego bytu razem, ostać się pojedyńczo nie mogą; dla tego widzimy je wstępujące w podrzędném znaczeniu momentów w nową idealną potęgę ogólną, która niwecząc krzywdzące przywileja i poniżającą władzę starą, wskrzesza nową jedność i spojność ogólną, przez ożywienie i dopełnienie formy reprezentacyjnéj dla woli narodowéj. Tą potęgą ogólną jest **prawo** krajowe, początkiem ruchu wszelkiego Szlachta czyli **Izba poselska** tu nowo utworzona, a godłem historyi jest **Państwo**.

Takie koleje przebiegła Świeckość nasza historyczna, nim się do ostatniéj chwili średniowiecznego bytu zatoczyła. Zobaczmyż teraz, jak się Polska podług zasad ogólnych trzeciego okresu w końcu jego odbudowywała, tak zewnętrznie jako i wewnętrznie, abyśmy ztąd całość jéj rozwoju porównać mogli ze stopniem rozwinięcia się historyi powszechnéj w ogólności.

Zewnętrznie musiała myśl państwa narodowego reagować przeciwko obczyznie i rozszczepieniu w kraju, aby zrość się mogło ciało narodowe i obrócić siły swe zespolone ku posłannictwu, do którego historya z końcem średnich wieków powołała Polskę.

Już Łokietek i Kazimirz W., jeden orężnie, drugi prawnie, zaczęli **oczyszczać narodowość** od cudzoziemszczyzny, która w czasie rozszczepienia Polski hojnie była do łona jéj napłynęła i potąd żywioły jéj w rozerwaniu utrzymywała; następnie Jagiełło mieczem grunwaldzkim i tannenberskim przeciął wrzód, co się do samych wnętrzności narodu już wżerał; aż nakoniec Kazimirz Jagiellończyk przez świetne zwycięstwa nad krzyżakami (pod Puczkami Piotr Dunin r. 1462.) i pokój wieczysty w Toruniu (1466), niemniéj przez ustawę zakazującą jeżdżenia na jarmarki wrocławskie, a stanowiącą natomiast narodowe jarmarki w Kaliszu, Wieluniu i Poznaniu (1451—1454.), Łokietkowéj i Kazimirzowéj dążności dopełnił. (*Vicitque tunc licet multis saeculis caligine suffusa veritas..!..* Dlg. s. a. 1466.)

Oczyszczona Polska z zakału obczyzny, skwapliwie **w jedno zrastała się ciało**. Dążność taka zaczęła się z Przemysławem, ciągła się statecznie przez cały okres trzeci, a z końcem jego ozwała się w Prusiech, Mazowszu i Szląsku. Krzyżacka kraina z płaczem rzucając się w objęcia Matki, bogaci koronę jéj Prusami, Pomorzem i Ziemią Chełmińską (1454). Przestarzały partykularyzm i udzielność Mazowsza topnieją i już zlewają się w narodową jedność ogólną, przez pozbycie prawa do Płocka (Dlg. s. a. 1462.) Nawet Szląsk cały, mianowicie zaś Wrocław i Namysłów dawały jeszcze oznakę przyrodzonéj sympatyi i nadziei powrotu do Polski (Dlg. s. a. 1459.).

Wzmogło się zatém czucie spojności i jedności w narodzie, a z niém wzmogły się materyalne i duchowe siły Polski, które nietylko uczyniły ją bogatą i zamożną, ale razem usposabiały do **szerzenia narodowości** w dalsze krainy. Stale i nieugięcie też Polska szerzy swe apostolstwo polityczne na Litwę i Ruś, i na całą wschodnio-południową Słowiańszczyznę; a z końcem wieków średnich rozległy zdobywa wpływ na: Czechy, Węgry, Siedmiogród, Multany, Wołoszczyznę, oraz Litwę i Ruś, i razem z nimi jeden tworzy ogromny węzeł — wschodni, trzema koronami błyszczący a jedną dynastyą polską rządzony; zaś twarzą cały obrócony na Wschód! — Tam bowiem bałwany ciemnoty i barbarzyństwa wezbrawszy żywiołem azyatyckim, pogroziły Europie powodzią. Wstały z gniazda tatarskiego na północ Cary Moskiewskie, a wylew buńczuków i szabli tureckich na południu groźnie się wzmagał: runął Carogród stary (1453.); upadł Nowogród wielki (1479.) ale **powstał mur wielki**, który wyciągnęła Polska piersiami swojemi wszerz całéj Europy, od Prus i Litwy do Węgier i Wołoszczyzny! *Formidabile tunc erat Turcis nomen Polonorum* (Dlg. s. a. 1485.).

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Doniesienia literackie.

Wybornego dzieła o Polsce szanownego F. J. Raspail, o którém w dawniejszych numerach pisma naszego wspomnieliśmy, wyszedł przekład polski.

Karol Forster wydał 12 rycin pod nazwą *Souvenirs historiques*. — Szczególnie piękną jest w zbiorze tym rycina wyobrażająca Kościuszkę, Dąbrowskiego i Józefa Poniatowskiego.

Gazette de France donosi, iż papież sprzedał apolina belwederskiego i wenus medycyjską cesarzowi rossyjskiemu za 9 milionów franków.

Mundt wyda wkrótce nowe dzieło: Völkerstimmen aus dem Süden. Bawi obecnie w Kopenhadze.

W najnowszych numerach nowéj gazety muzykalnéj lipskiéj znajduje się obszerny nekrolog znanego jako kompozytora w Warszawie Franciszka Lessla.

W Warszawie wyszedł z druku poszyt 2gi tomu 3go »Pamiętnika lekarskiego warszawskiego«; zawiera: o naturze choroby typhus przez J. Lebel. Dwa wypadki wypiłowania kości szczęki dolnéj pana Helbicha. O użyciu occianu ołowiu w wypróżnieniach niszczących pana Fiałkowskiego. — Polip szyi maciczneéj przez tegoż i t. d. Oprócz tego mieści tom ten wiadomość o źródłach mineralnych w Iwoniczu i w Galicyi; rozbiór nowszych dzieł lekarskich w naszym kraju, bibliografią lekarską i t. d.

TYGODNIK LITERACKI wychodzi co tydzień w Poniedziałek. Prenumerata wynosząca półrocznie 2 Talary przyjmuje się po wszystkich Królewskich Pocztamtach i księgarniach krajowych i zagranicznych.

Redaktor: *A. Woykowski.* Czcionkami *W. Deckera i Spółki.*